

## Wspomnienia Salomei Bu

12.01.2012.

Salomea Bu urodziła się 17 czerwca 1910 roku w Podleszanach k. Mielca, zmarła 20 stycznia 1996 roku, spoczywa na cmentarzu parafialnym w Księżnicach (Mielec), bezpotomnie. Od 1941 do początku 1945 roku pracowała w Przedborzu jako nauczycielka. Drewniany dom, w którym mieszkała, znajdował się przy dzisiejszej ul. Koneckiej, w miejscu gdzie później stał dom Turnów, a obecnie znajduje się sklep Lewiatan.

Fragmenty pamiętnika Salomei Bu, w których opisuje Przedbórz (pisownia oryginalna).

W 1940 roku zostałam wezwana do inspektoratu otrzymując pismo - gdzie moje proste nazwisko było napisane Salemea Busch (nie Bu). Pytałam czy to rzeczywiście do mnie - Schubrat tłumaczył, że moje nazwisko wywodzi się z niemieckiego Busch, ale Polacy dla wygody tak go skrócili, że powinnam być dumna, że moi przodkowie należeli do germańskiej narodowości itd. - wyciągnął druk, abym podpisała „Wolkslist”; mówiłam, że w naszej rodzinie mówią o sobie, że nasz pradziadek pochodził z Wągrowa. Ja czuję się Polką, jestem tu wychowana i dzielić będę los narodu polskiego. Przekonywał mnie, że to głupota nie skorzysta z tego, że mnie przeniesie do lepszej zorganizowanej szkoły w Sielpi ma majątek ziemski (wysiedli Polaka) tam mogł mieszkać, dostać bezpłatne utrzymanie. Taka mnie złośliwie opanowała że niezdolna byłam już nic powiedzieć, wstałam i wyszłam. Nazwał mnie hardo i głupi Polką. Jeszcze kilka razy w ciągu okupacji, robił mi poniżające propozycje.

Przeniósł mnie - 1941 r. - do Przedborza nad Pilicą, było to takie małe miasteczko w 70% zniszczone we wrześniu 1939 r.

Po roku Schulrat znowu przyjechał do Przedborza na wizytację - już na lekcje nie przyszedł do mnie. W ogóle raczej rozmawiał z nauczycielami tam była 7 klasowa szkoła i bardzo dużo dzieci w klasach, na każdą zmianę było po 60 uczniów wystarczyło mu zobaczyć jak klasy są zatłoczone. Ponieważ ja byłam wśród nauczycieli najmłodsza, koleżanki prosiły mnie abym prosiła o kartki na odzież - buty itd. Rzeczywiście później jakieś tam kartki inspektorat przesłał nam do kierownictwa. Chciałam jeszcze przypomnieć, że już w drugim roku wojny dostaliśmy kartki na żywność - 1 kg czarnego, kwaśnego chleba na tydzień, 30 dkg cukru na miesiąc, 10 dkg miodu na tydzień, co tam kaszy jęczmień - i co dziwne - masło, papierosy i 1 litr wódki - papierosy i wódkę sprzedawałam od razu. Można było na targu u kobiet wiejskich kupić masło - wódcę te pieniądze na to przeznaczałam. Nasze pensje były b. niskie, głodowali coraz więcej im dłużej trwała wojna. To co dostawali z przydziału, nie starczało im na tydzień. Kartki żywnościowe były rzadkie. Na odprawach z początku każdego września Schubrat podkreślał, że nauczyciele to taka kategoria ludzi, która nie pracuje dla Wielkiej Rzeszy, dlatego musi mieć najgorsze kartki. Wielu nauczycieli którzy mieli rodziny, odchodził do innej pracy, chociaż tajne organizacje ZNP wzywało do wytrwania - rzucając hasło, że nauczyciel to jak żołnierz na posterunku - nie wolno mu tego posterunku opuszczać! Uczęły prawie same kobiety i to w wielosobności samotne. Życie było b. trudne. Ja, aby sobie jakoś radzić, robiłam swetry z wełny, naturalnie wełnę przynosił ludźmi, przeważnie za zrobienie swetra brałam tyle ile za kilogram masła czy słoniny (była jedna cena). W ten sposób zdobywałam trochę. Masło można było kupić na zielonym rynku, także w lecie jarzyny. Nasze pobory były siłą w wysokości 1 kg tłuszczu. W czasie okupacji miałam pod dostatkiem tylko drzewa, na które dostawałam talony - przydział w szkole. Drzewo robiło mi mój starszy człowiek, za bardzo mało zapłacił. Miałam drzewa w takiej oficynie na kilka lat. Pamiętam samotne wieczory, gdy zapalałam pod kuchnią (mieszkałam w kuchni - piec przez dzień był zasłonięty parawanem). Ogień trzaskając beztrudnie dawał chwilę radości, takiego ognia ze spalającego drzewa już nigdy nie miałam. Tam w Kieleckim lasie było b. dużo. Niemcy wycinali rękami Polaków całe lasy, grube kłose wywozili do Waterlandu, ale te grube

gałki nie zostawiały i to przydzielali Polakom na opał. Pałace się ogniska drzewem budziły optymizm, wierzyłem w przetrwanie. Wieczorem zawsze robiłem kolację z pieczonych ziemniaków. Jeszcze w Podborzu nocami były cięgle walki partyzantów w których w okolicznych lasach było wielu. W pobliżu, gdzie mieszkałem w domu po drugiej stronie Pilicy, były gmach - twierdza gdzie mieszkali gestapowcy. W dzień można ich było zobaczyć chodzących po ulicach w mundurach w nocy po godzinie policyjnej podobno nie wychodzili ze swojej twierdzy - porządku pilnowała milicja - Polacy. W tym domu gdzie mieszkałem, po drugiej stronie korytarza mieszkał taki granatowy milicjant - bałem się go i nie byłem pewna, do mnie przychodziło kilku uczniów na lekcje (tajne nauczanie), ale jakoś szczęśliwie nikt mi nie przeszkadzał. Dzieci wychodziły pojedynczo, dyskretnie. W roku chyba 1943 - 8 marca przeżyłem straszną noc. Ja mieszkałem na I piętrze na parterze pod moim pokojem mieszkał (miał warsztat) zegarmistrz [Jan Karczmarek - przyp. PG]. Do niego przychodzili różni ludzie a wśród nich i mundurowi Niemcy. Dochodziły sycuchy, że on współpracuje z Niemcami, że wydaje Polaków. Ja znałem go tylko z widzenia, nigdy z nim nie rozmawiałem. Nie wiem ile w tym było prawdy. W tej pamiętnej nocy 7 na 8 marca przyszli partyzanci, aby wykonać na nim wyrok śmierci sycyszałem przez poważyłem jak prosiłem ich o życie. Mówiłem, że jest nie winny - sycyszałem okropne jąki mordowanego. Zdawało mi się, że to trwało bardzo długo, dostałem wstrząsu nerwowego. Siedziałem na swoim łóżku bez ruchu, obok w drugim pokoju spała taka gospoia dentystki, ona też nie drgnęła, a na pewno też wszystko sycyszała. Tak nie wychodziłem z mieszkania do godziny 9-tej gdy do tego zegarmistrza przyjechała taka panienka, która z nim pracowała i morderstwo zostało odkryte. Ja wszystkim mówiłem, że ja nic nie sycyszałem. Tak to było w Podborzu w dzień rzadziło gestapo w nocy partyzanci, w każdą noc sycychało było strzelaniną. Partyzanci zabierali żywność ze sklepów, wtedy ludność cywilna na kartki nie dostawała nic - szkoda mi było te 30 kg cukru. Niedaleko Przedborza była fabryczka węglarki - węglany. Oddawało się kupioną węglaną owczą i dostawało się jakiś tam procent miesięcznej węglarki, gdy tu byłem na wieża pozbierałem od sióstr pieniądze, kupiłem coś przeszło 4 kg węglany, za tydzień miałem wybrać węglarkę. Wtedy też partyzanci węglarkę zabrali. Serce mnie bolało, gdy dowiedziałem się, że partyzanci tą węglarkę sprzedali na rynku. W Przedborzu Niemcy bali się okropnie „bandytów z lasu”;

Ja w Podborzu byłem do 1 lutego 1945 roku. Nawet Podborze opuściłem kilka dni wcześniej - data 1 luty to data zatrudnienia mnie w szkole w Wieluniu. Oto jak wyglądało moje zatrudnienie i przeniesienie do Wielunia. Kiedy zbliżała się front i Wojska Radzieckie i Polskie rozpoczęły ofensywę. Niemcy czuli się bardzo nie spokojni chociaż Nowy Rok 1945 spędzali huczni i głośno w budynku gestapo w pobliżu gdzie mieszkałem, chociaż chodzący sycuchy, że zaraz po Nowym Roku zacznie się wyzwolenie Polski : marsz na Berlin. Już około 15 stycznia sycychało było detonacje, w sercach Polaków wstąpiła nadzieja, że już nie długo Niemcy muszą się cofnąć. Szosa, która prowadzi przez Podbórz jest ważna, prowadziła na zachód. Niemcy na tej drodze przygotowywali się do oporu. Wojska mieli dużo dużo (tak mi się zdawało). Po drugiej stronie mostu nad Pilicą zgromadzono dużo alkoholu, (o alkohol było łatwo), każdy nauczyciel dostawał litr spirytusu przy poborach. Niemcy woleli pijanych Polaków, bo trzeźwych się bali. W pobliżu mnie mieszkało małżeństwo z małym dzieckiem. On uczył w wieczorowej szkole rolniczej, bo o rolnictwo w okupacji dbali bardzo. W ostatniej nocy, gdy Niemcy już wkraczali do miasteczka, wiele ludzi uciekało, więc ja samotna trzymałam się tego małżeństwa. Pamiętam, jak przechodziliśmy przez most, kule sypały się głośno, ludzie się przewracali. Mnie ogarnął strach, kto mnie tu pochowa, obdartą z odzieży rzuci do wspólnego grobu. Zaczęłam się modlić do Boga i wzywać ducha mojej zmarłej matki, aby mnie ocali. Szczęśliwie przeszliśmy most i na mój wniosek oddaliliśmy się od szosy w stronę lasu. Tam już było lepiej kule mniej padały, bombowce też krążyły nad szosą - wreszcie doszliśmy do lasu umoczeni nie ludzko. Było to 17-18 stycznia. Mroz było 20°C i dużo śniegu. Ja ubrana byłem nie najlepiej, odzież zimowa została w domu rodzinnym, buty też miałam liche. Na plecach miałam koc, w którym znajdowała się pierzyna i poduszeczka - w ręce trzymałam małą walizkę, do której włożyłam ważne dokumenty - dyplom nauczycielski, zdjęcia listy od mojego narzeczonego, z kilku lat i 1 para bielizny, nowy prawie kostium z bielskiej węglany. To całe moje majątek. To mi tylko zostało. Po kilku godzinach trafiliśmy na wieś, pozwolono nam odpocząć. U tej gospodyni byliśmy - resztą dnia i noc.

Na drugi dzień od rana wracaliśmy do Przedborza. Radzieccy żołnierze już gościli w miasteczku

- wszyscy pijani - most był zerwany, lód trzymał się mocno, straszny był widok, przeszliśmy Pilicę ja na drodze już spotkałam człowieka, który miał moje różne rzeczy, naczynie ze smalcem, czajnik, gdy zwróciłam mu uwagę, że to moje, powiedział że to jego bo znalazł w opuszczonym mieszkaniu - dostałam się do mojego mieszkania, wszystko było zrabowane, na ziemi - podłódze poniewierały się książki, podarte - zacząłem zbierać kartki ze słownika ortograficznego, bo uznałem, że to mi będzie najpotrzebniejsze, kilka lat ten słownik był mi pomocą w pracy. Gdy zbierałem kartki słownika do pokoju weszli żółnierze radzieccy naturalnie pijani, zaczęli mnie szarpać, na szczęście wtedy przyszła moja koleżanka Władka ze wsi oddalonej o 4- 5 km. Była ubrana porządnie (miała ojca gospodarza) buty z cholewami, zegarek na rękę - ci dwaj żółnierze chcieli jej zabrać zegarek i buty, ale to była mocna dziewczyna, jak kopnęła jednego w czułe miejsce, drugiemu się wyrwała i krzyknęła - uciekamy. Żółnierze byli słabi z pijaństwa. Wtedy poszliśmy do niej na wieś. Tej nocy spaliśmy w domu w którym mieszkaliśmy. Kosz z niektórymi rzeczami miałam w komórze na drzewo, wszystko wykradli, co tylko miało jakąś wartość. Na podwórzu znalazłam dwie szczotki do butów i czyszczenia odzieży, wziąłem to - te szczotki zrobił mój ojciec sam był to ważne pamiątki. Komórka z drzewem została, a miałam drzewa rąbanego dosyć dużo, bo Niemcy niszczyli okoliczne, liczne lasy, drzewo grube wywozili do Rzeszy, cieńsze okrąglaki przeznaczali na przydział do opału ludności. Przychodził na podwórze starszy człowiek, który rąbał mi to drzewo. W tym domu, gdzie mieszkam na parterze była piekarnia. Na podwórzu było dużo grubego ładnego drzewa, do piekarni, gdy frontowe wojsko przeszło, zostały tylko nie liczne oddziały dla utrzymania porządku. Po dwóch dniach wróciłam do Podborza. Szkoła była zajęta przez wojsko. O nauce nie było mowy. Koleżanka wróciła do ojca, który był w pobliżu. Przenocowałam w kącie u znajomych i zacząłem rozmyślać co robić dalej. Wyzwolenie ziem polskich odbywało się bardzo szybko. Miałam znajomego inspektora szkolnego, który przedstawił się do podzi. Kuratorium już urzędowało i on otrzymał nominację na inspektora w Wieluniu. Wielu było to miasto powiatowe o charakterze rolniczym (z cukrownią) zmówiłam się z nim i razem z jego rodziną miałam jechać. Wyrobiliśmy zaświadczenia, że jedziemy na ziemie odzyskane - bo Wielu podobnie jak przed wojną przyłączona do Rzeszy. Cała sprawa jak się tam dostać? Nie mieliśmy pieniędzy, a ważne były tylko lubelskie, poszedłam do lekarza sprzedać mu to drzewo, powiedział, że zapłaci nowymi pieniędzmi jak mu to drzewo przywiozł do domu. Znalazłam chłopaka, który drzewo przewiózł, a ponieważ na podwórku było pełno drzewa dla piekarni, a piekarnia też była spalona, spytałam gospodyni, czy mogłabym sprzedać trochę tego drzewa. Pozwoliła zabrać jeszcze furę czy dwie. Mieliśmy trochę pieniędzy, kupiliśmy wódkę i na szosie w stronę Wielunia czekaliśmy, aż się trafi okazja. Ruscy żółnierze zbadali dokumenty i wzięli wódkę i zawieźli nas do celu. Nikt tu na nas nie czekał.

Materiały udostępnił Pan Marek Tomczyński ze Starachowic, za co składamy serdeczne podziękowania.

Opracowanie wraz z komentarzem znajduje się TUTAJ.